

Zbrodniarze bez kary



WITOLD REPETOWICZ

Niezależny dziennikarz,
ekspert ds. międzynarodowych portalu Defence24.pl,
prawnik

Międzynarodowy Trybunał Karny to farsa. Przed jego oblicze trafiają płołki, a odpowiedzialni za śmierć milionów osób w Afryce chodzą wolno. Nie lepiej inaczej wydać przeznaczone nań pieniądze?

Informacji o rozpoczęciu przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze procesu Ahmada al-Faқи al-Mahdi, dzihadysty oskarżonego o niszczenie zabytków w Mali, towarzyszyły przeważnie pozytywne komentarze: społeczność międzynarodowa docenia wagę przestępstw wymierzonych w historyczne i kulturowe dziedzictwo atakowanego narodu. Działanie takie przypomina ludobójstwo, gdyż oderwanie danej grupy od jej dziedzictwa prowadzi do zatarcia jej tożsamości, a więc duchowego wyniszczenia. Choć katalog aktów, stanowiących przedmiotową stronę tego typu zbrodni, jest ujęty wyczerpująco w definicji zawartej m.in. w Statucie Rzymskim, będącym podstawą działania Międzynarodowego Trybunału Karnego, to warto pamiętać, że istotą wyróżnienia zbrodni ludobójstwa jest dążenie do zniszczenia danej grupy, przy czym niekoniecznie musi to być zniszczenie poprzez fizyczną eliminację jej członków (wymordowanie). Niestety, to tylko teoria. Praktyka bowiem skłania raczej do przepelnionego gorczyką śmiechu. Międzynarodowy Trybunał Karny to farsa.

Piękny pomysł – na papierze

MTK rozpoczął swą działalność w 2003 r., po tym jak Statut Rzymski (uchwalony w 1998 r. przez delegacje 120 krajów) został ratyfikowany przez 60 państw. Warto podkreślić, iż organ ten nie ma nic wspólnego z powołanymi wcześniej: Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii (którego siedziba też mieści się w Hadze) oraz Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla Rwandy (z siedzibą w tanzańskiej Aruszy), które są sądami ad hoc, stworzonymi na podstawie rezolucji Rady Bezpieczeństwa, wydanych zgodnie z Rozdziałem VII Karty Narodów Zjednoczonych (czyli wiążących wszystkie państwa na świecie). MTK miał zastąpić to sądownictwo, którego jurysdykcja była ograniczona przedmiotowo i czasowo (tylko do zbrodni popełnionych w czasie odpowiednio wojny w byłej Jugosławii oraz walk Hutu i Tutsi w Rwandzie), permanentną jurysdykcją uniwersalną. Jurysdykcja ta miała być oparta na zasadach poszanowania suwerenności i komplementarności wobec jurysdykcji

krajowej. Innymi słowy, z jednym wyjątkiem, miała być ograniczona do sytuacji dotyczących państw-stron Statutu Rzymskiego oraz tylko wówczas, gdy państwa te same nie mogły sądzić zbrodniarzy, np. ze względu na toczącą się w nich wojnę. Jedynym wyjątkiem było obowiązkowe wszczęcie postępowania przed MTK na podstawie rezolucji Rady Bezpieczeństwa, nawet jeśli dotyczyło ono kraju niebędącego stroną Statutu Rzymskiego. Statut ten jest bowiem wielostronną umową międzynarodową.

Lata 90. były dekadą niezwykle krwawych konfliktów na kontynencie afrykańskim

Na papierze wyglądało to pięknie. Jurysdykcja uniwersalna, wymierzona w najstraszliwsze zbrodnie: ludobójstwo, zbrodnie wojenne i przeciw ludzkości, w dodatku nienaruszająca suwerenności, gwarantowanej w końcu przez Kartę Narodów Zjednoczonych. Zapewniająca ponadto najwyższe standardy procesowe. Do dziś Statut Rzymski ratyfikowały aż 124 państwa i choć nie ma w nich 3 z 5 stałych członków Rady Bezpieczeństwa, (USA, Rosji i Chin) to i tak można by uznać to za sukces. Zwłaszcza że dwukrotnie Rada Bezpieczeństwa (w tym kraje nieuznające wobec siebie jurysdykcji MTK) przegłosowała skierowanie sprawy do MTK (chodziło o sudański Darfur i postkadafijską Libię). Niestety na tym kończą się wszelkie pozytywy. Lata 90. były czasem niezwykle krwawych konfliktów na kontynencie afrykańskim. Poza Rwandą,

chodziło przede wszystkim o wojny w Sierra Leone, Liberii, sudańskim Darfurze, działalność szalonych rebeliantów Lord Resistance Army z Ugandy, czy wreszcie gigantyczną (choć mało znaną w Europie) wojnę w Demokratycznej Republice Kongo. Ta ostatnia, i jej konflikty odpryskowe (np. wojna plemion Lendu i Hema w prowincji Ituri), spowodowała śmierć od 3 do 6 mln ludzi. To właśnie zbrodniami popełnionymi w Kongo w pierwszej kolejności zainteresował się MTK.

Kara nic nie zmienia

Pierwsze kontrowersje, odnoszące się do wszczynanych przez MTK postępowań, dotyczyły tego, czy w przypadku konfliktów, które wciąż trwały, nie utrudni to negocjacji pokojowych. W przypadku wspomnianych konfliktów toczących się w Afryce, popełnianie zbrodni opisanych w Statucie Rzymskim było w zasadzie normą, natomiast oczekiwaniem stron negocjacji pokojowych nie było trafienie do więzienia w Hadze, lecz udział we władzach. Ktoś, komu w zamian za złożenie broni oferuje się tylko więzienie, będzie walczył póki dysponuje siłą. Muszę jednak zaznaczyć, iż gdy w 2010 r. rozmawiałem w miejscowości Uvira (prowincja Kivu Sud, Demokratyczna Republika Kongo) z tamtejszymi studentami, to większość z nich uznawała, iż bez postawienia przed międzynarodowym sądem watażków terroryzujących te ziemie, nie da się u nich zaprowadzić pokoju. Wydawało się zatem, iż jest nadzieja w MTK. Niemniej szybko się okazało, iż MTK dylemat pokój czy sprawiedliwość postanowił rozwiązać idąc na kompromis i sądząc przegranych, a następnie desperacko polując na sprawy, aby mieć wyniki. Po co? By uzasadnić swój budżet, który przez 13 lat wyniósł

bagatela 1,3 mld euro (na 2016 r. to 150 mln euro). W tym czasie wydano raptem dwa prawomocne wyroki.

Postępowania MTK nie odegrały żadnej roli w przywróceniu pokoju w Kongo

Zacząło się w miarę dobrze. Wspomniana wcześniej tzw. druga wojna kongijska (zwana też światową wojną afrykańską) zakończyła się w 2003 r. podpisaniem w południowoafrykańskim Sun City porozumienia pokojowego, którego głównymi stronami był siły rządowe Josepha Kabili (został prezydentem) i wspierane przez Ugandę Mouvement pour la Libération du Congo (MLC) Jean-Pierre Bemby (został wiceprezydentem). Ten układ nie objął jednak wszystkich rebeliantów. Wojna ta miała bowiem w dużej mierze charakter konfliktu proxy, w którym niektóre ugrupowania realizowały interesy innych państw, na przykład Rwandy. W szczytowym momencie konfliktu zaangażowały się w niego siły zbrojne 7 innych krajów afrykańskich i są liczne dowody na popełniane przez nie zbrodnie (zwłaszcza przez Rwandę).

Postępowania MTK nie odegrały żadnej roli w przywróceniu pokoju w Kongo. Walki do dziś nie zostały wygaszone, bo (poza problemem rwandyjskich Hutu w prowincji Kivu, którego rozwiązaniem MTK się nie zajmuje) napędza je bardziej chęć kontrolowania licznych kopalni bogactw naturalnych (w szczególności koltanu) aniżeli jakaś agenda polityczno-plemienna. Dlatego ci spośród liderów

różnych uzbrojonych band (w które należy wliczyć armię ugandyjską, rwandyjską i kongijską), którzy mieli szczęście, weszli w układ, gwarantujący im pieniądze i wolność. Ci, którzy mieli pecha – nie żyją lub gniją w jakichś afrykańskich kaza-matach, a kilku kozłów ofiarnych przekazano do Hagi. Thomas Lubanga i Germain Katanga, jedyni dotychczas skazani prawomocnie przez MTK, to z całą pewnością zbrodniarze, których ręce ociekają krwią. Tylko czy ich skazanie warte było 1,3 mld euro, z czego ponad połowę pokryła Unia Europejska z kieszeni swoich podatników? Ich procesy trwały prawie 9 lat, a w tym czasie jedno było w Kongo niezmiennie: pensja przeciętnego górnika, harującego z narażeniem życia od świtu do zmierzchu w kopalniach koltanu w Kivu, to maksimum 100 euro miesięcznie. Nie zmieniło się też to, że na tym wydobyciu zarabiają koncerty elektroniczne, nic więc dziwnego, że drugim po UE największym donatorem budżetu MTK jest Japonia. Oplacone sumienie, wilk syty i owca cała? Lubanga i Katanga trafią do więzienia spełniającego standardy międzynarodowe, gdzie i tak będą wieść życie wygodniejsze niż ci, którzy harują w kopalniach, o które chodziło w całej tej walce. Nie sądzę więc, by miało to jakikolwiek sens, zarówno z perspektywy przeciętnego europejskiego podatnika, jak i kongijskiego górnika.

Tajne deale bandytów z prokuratorami

Z Konga oskarżono jeszcze 4 osoby, przy czym 2 uniewinniono. Dwie pozostałe osoby to z kolei strony konfliktu Hutu–Tutsi (odpryskowego wobec ludobójstwa w Rwandzie sprzed 22 lat): Bosco Ntaganda (Tutsi) o sympatycznym brzmiącym pseudonimie „Terminator” i Sylvestre

Mudacumura (Hutu). Wobec tego drugiego proces się nie toczy, bo go nie złapano, Bosco natomiast miał pecha. „Terminator” przejął kontrolę nad sponsorowanym przez Rwandę Congrès National pour la Défense du Peuple (CNDP), po tym jak prezydenci Konga i Rwandy, tj.

Afrykańskie państwa zaczęły grozić wycofaniem uznania dla MTK, zarzucając Trybunałowi, że stał się sądem „białego człowieka” nad Czarną Afryką

Kabila i Kagame, zawarli deal, zakładający poświęcenie prorwandyjskiego watażki Laurenta Nkundy. Ten jednak był jednocześnie rwandyjskim generałem walczącym u boku Kagame, jeszcze gdy obecny rwandyjski lider był rebeliantem w rządzonej przez Hutu Rwandzie. Nie mógł być zatem wydany do Hagi, bo za dużo wiedział o odpowiedzialności Kagame za różne zbrodnie. „Terminator” natomiast zawarł układ z Kabilą i dostał swój udział w kopalniach. Zarówno Rwanda, jak i Kongo długo go chroniły, nazywając człowiekiem pokoju. Wszystko się zmieniło, gdy zbyt pazerny Ntaganda pokłócił się o sferę gospodarczych wpływów. Wtedy trafił do Hagi i MTK nie interesowało to, że z tego powodu powstało nowe ugrupowanie rebelianckie (M23). Walki na krótko osiągnęły dawno zapomnianą intensywność. Jak dobrze pójdzie, to może skazają go za 5 lat, po wydaniu kolejnych kilkuset milionów euro. Wyroku, choć w pierwszej instancji (po 8 latach procesu), doczekał

się natomiast kolejny Kongijczyk – Jean-Pierre Bemba.

W 2006 r. przeprowadzono w Kongo wybory prezydenckie, w których zwyciężcą ogłoszono Kabilę. Miał on uzyskać 58% głosów, a jego kontrkandydat 42%. Zwolennicy przegranego podważali ten wynik, ale w końcu udało się osiągnąć porozumienie. Tyle że kontrkandydat, którym był nie kto inny, tylko właśnie Bemba, kilkanaście miesięcy później trafił do aresztu w Hadze, na mocy potajemnego dealu, zawartego przez Kabilę z głównym prokuratorem MTK. Nie oskarżono go o żadne zbrodnie popełnione w Kongo, bo to byłoby groźne dla Kabilii, przez lata głównodowodzącego oddziałami dzieci-żołnierzy u boku swego ojca Laurenta (poprzedniego prezydenta Konga). Zamiast tego oskarżono go o zbrodnie popełnione w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie oddziały Bemby interweniowały w roku 2002, na wezwanie prezydenta tego kraju, którym był Angé-Félix Patassé. Co ciekawe sam Patassé, choć obalony w 2003 r., jeszcze w 2010 r. startował w wyborach prezydenckich i spokojnie sobie zmarł w 2011 r., nie niepokojony żadnym listem gończym MTK. Natomiast „nieuchronność kary” wobec Bemby miała taki „efekt odstraszący” wobec nowych potencjalnych zbrodniarzy w RŚA, iż w 2013 r. w kraju tym wybuchły niezwykle krwawe walki między muzułmańską Seleką a chrześcijańską anti-Balaką. Za to Kabila pozbył się z kraju najgroźniejszego rywala.

Szaleniec bez kary

Całkowitą porażką, od samego początku, było za to postępowanie MTK w sprawie ugandyjskich szalonych rebeliantów LRA, którzy przy pomocy armii złożonej w 90%

z dzieci od prawie 30 lat walczą o ustanowienie w Ugandzie „prawa boskiego”, opartego rzekomo na Dekalogu. Zdziesiątkowane LRA zaczęło w tym czasie negocjacje w sprawie poddania się w zamian za amnestię i interwencja MTK doprowadziła do ich załamania. Demoniczny lider LRA Joseph Kony wciąż przebywa na wolności, a jedynym spośród oskarżonych, który trafił do Hagi, jest Dominic Ongwen. Problem w tym, że Ongwen, zanim stał się katem jako jeden z dowódców LRA, był wcześniej ofiarą. Gdy miał 14 lat został porwany i pod wpływem tortur przemieniony w maszynkę do zabijania. W ręce MTK trafił, bo sam się poddał po konflikcie z Kony'm.

**Procesy przed Trybunałem
nie są sygnałem
o „nieuchronności kary”,
lecz wręcz przeciwnie –
o selektywności i to nie ze
względu na wagę sprawy**

Podobnie całkowitą porażką zakończyło się skądinąd bezprecedensowe postępowanie, wszczęte przez MTK w 2005 r. na podstawie rezolucji Rady Bezpieczeństwa, w sprawie zbrodni w sudańskim Darfurze. W 2009 r. MTK oskarżył i wydał nakaz aresztowania Omara Baszira, urzędującego prezydenta Sudanu, co nie miało precedensu w historii stosunków międzynarodowych. Żaden z oskarżonych w tej sprawie nie jest jednak w rękach MTK, a Baszir nadal jest prezydentem Sudanu (już 27 lat). Od czasu, gdy MTK zaczęło go ścigać, złożył wiele oficjalnych

wizyt, m.in. w Chinach i niektórych krajach, które są stroną Statutu Rzymskiego.

Po co ten Trybunał?

W 2011 r. MTK postanowiło strzelić sobie w kolano i wszcząć postępowanie przeciwko 9 Kenijczykom, których Trybunał oskarżał o zbrodnie popełnione w trakcie zamieszek powyborczych na przełomie 2007 i 2008 r. Kłopot w tym, że na liście ściganych znalazło się dwóch czołowych polityków kenijskich: Uhuru Kenyatta i William Ruto. Tym razem jednak wariant à la Bemba nie przeszedł i w 2013 r. Kenyatta został prezydentem Kenii, a Ruto jego zastępcą. Ich głównym kontrkandydatem był ówczesny premier Kenii Raila Odinga, w którego gabinecie znajdował się zresztą zarówno Kenyatta, jak i Ruto. Było to efektem układu kończącego wspomniane zamieszki powyborcze, w których Kenyatta i Ruto z jednej strony oraz Odinga z drugiej znaleźli się (z przyczyn podziałów plemiennych) po przeciwnej stronie. Układ układem, ale przemieszczenie się rywali z ław rządowych do haskiej celi byłoby bardzo wygodne dla premiera. Tylko że Kenia nie jest afrykańskim pariasem – takim, jak poniekąd Sudan – lecz jednym z ważniejszych państw afrykańskich. O ile już w przypadku Sudanu przeciwko jego ściganiu protestowała Unia Afrykańska oraz Liga Państw Arabskich, to po wygranych przez Kenyattę wyborach niemal cała Czarna Afryka stanęła za nim murem. Afrykańskie państwa uznające jurysdykcje MTK zaczęły grozić wycofaniem uznania dla MTK en masse, zarzucając Trybunałowi, że stał się sądem „białego człowieka” nad Czarną Afryką (wszystkie postępowania dotyczyły regionu Afryki Subsaharyjskiej). MTK rakiem wycofało się zatem z postępowania wobec Kenii.

Było ono też zaprzeczeniem zasady komplementarności, bo – jak na warunki afrykańskie – Kenia należy do czołówki pod względem stabilności i jest relatywnie demokratyczna, z działającym sądownictwem.

MTK wszczęła jeszcze postępowanie w sprawie Libii, które legło w gruzach, oraz w sprawie Wybrzeża Kości Słoniowej. Łącznie oskarżono 39 osób, ale 27 spraw albo umorzono, albo uniewinniono sprawców, albo też proces się nie toczy, bo sprawca jest poza zasięgiem MTK. 11 miało pecha, a dwunasty – Ahmad al-Mahdi najwyraźniej uznał, że opłaca mu się na kilka lat zamienić saharijską lepiankę na wygodną haską celę, z perspektywą uzyskania azylu po wyjściu z więzienia. Sądy w jego rodzinnym Mali też przecież działają i jakoś nie mają problemu z sądzeniem lidera puczu z 2012 Amadou Sanogo. Al-Mahdi w tym czasie był płotką, wykonawcą określonych zadań w wielowymiarowym konflikcie, w którym żaden z głównych rozgrywających nie stanął

przed sądem, a problemy w sposób trwały nie zostały rozwiązane. Jeśli ktoś myśli, że sądzenie al-Mahdiego będzie miało jakiegokolwiek znaczenie odstraszające wobec nowych zbrodni w Mali, gdy liderzy dżihadystów saharijskich: Al Kaidy, MUJAO czy Mourabitoun, są na wolności, to się grubo myli.

W Afryce są setki zbrodniarzy podobnych do tej sądzonej dwunastki, a na całym świecie są ich tysiące. Procesy przed MTK nie są więc sygnałem o „nieuchronności kary”, lecz wręcz przeciwnie – o selektywności i to nie ze względu na wagę sprawy. Nikogo też nie odstraszy od niszczenia zabytków taki proces, skoro nie odstrasza od dokonywania masowych mordów. Te miliony euro zamiast na proces lepiej wydać na ratowanie zabytków, ponieważ bardzo dużo obiektów z listy UNESCO jest zagrożonych. A jeśli sądzenie ich jest tak ważne dla Afrykańczyków, to niech robią to sami – za kilkadziesiąt euro, a nie miliardy.